



pismo miesięczne z obrazkami

—\* wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. \*—

Redaktorka i wydawczyni:

**Marja Wyślouchowa.**

---

**Prenumerata wynosi:**

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

---

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kullkowskiej.

---

— C I E N I E. —

**K**iedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch — wielka armja nocy, o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armja, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczoru, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka, kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załamkach murów. Rozproszona i na pozór nieobecna, wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszym ziar-

nem piasku, czepia się najcięższej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wdrzeć się na niezajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armja zmroków gęstymi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapełnia korytarze domów, sienie i źle oświetlone schody; z pod szaf i stołów wypęzła na srodek pokojów i obsiada franki; przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchem milczeniu szturmując ściany i dachy i zająca na szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną różowe obłoki.

Jeszcze chwilka i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemności, sięgającej od ziemi do nieba. Zwierzęta skryją się po lego-

wiskach, człowiek ucieknie do domu; życie, jak roślina bez wody, skurczy się i pocnie usychać. Barwy i kształty rozpląną się w nicestwie; trwoga, błąd i występki obejmą panowanie nad światem.

W takiej chwili, na pustoszejących ulicach Warszawy ukazują się dziwna postać ludzka, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją ścigały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie i roznieciwszy wesołe światło, znika, jak cień.

I tak każdego dnia w roku. Czy na polach wiosna dyszy zapachem kwiatów, czy sroży się lipcowa burza, czy rozhukane na ulicach jesienne wichry miotają tumanami kurzu, czy w powietrzu kłębią się zimowe śniegi, — on zawsze, skoro tylko nadejdzie wieczór, ze swym płomykiem przebiega miejskie chodniki, roznieca światło, a potem znika, jak cień.

Skąd się ty bierzesz, człowieku i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu? Albo dzieci, które postawiwszy w kącie twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach?

Czy ty w ogóle posiadasz jaki dom, w którymby cię znaleźć można? imię, którem możnaby cię zawołać? potrzeby i uczucia, któreby cię robiły takim, jak my człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujęta, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika, jak cień?

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres. Poszedłem do wskazanego domu i zapytałem stróża;

— Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?

— U nas.

— A gdzie?

— W tamtej komórce.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okno, ale tylko zobaczyłem tapczan przy ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było.

— Powiedz mi przynajmniej, jak on wygląda?

— Kto go tam wie! — odparł stróż, wzruszając ramionami. — Sam go nawet dobrze nie znam, — dodał — bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

W pół roku przyszedłem drugi raz.

— A dziś niema w domu latarnika?

— Oho! — rzekł stróż — niema i nie będzie. Wczoraj go pochowali. Umarł.

Stróż zamyślił się.

Zapytawszy o kilka szczegółów, pojechałem na cmentarz.

— Pokażcie mi, grabarzu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika?

— Latarnika?... — powtórzył. — Kto go tam wie! Trzydziestu pasażerów było wczoraj.

— Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

— Takich zważyło się dwudziestu pięciu.

— Ale on leżał w niemalowanej trumnie.

— Takich zwiezli szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie widziałem jego grobu. I został tem po śmierci, czem był za życia: istotą widzialną tylko o zmroku, niemą i niepochwytną, jak cień.

W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna; gdzie na skrzepowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść, — po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło, żyje niepoznany, trudzi się nieoceniomy, a potem znika, jak cień...

*Bolesław Prus.*



Biblioteka Czytelni  
im. M. L. BORELWSKIEGO  
w PRZEMYSŁU.

№ \_\_\_\_\_

SKOWRONEK . . . . .

*Skowroneczek turknął w glebie,  
Zatrzepotał w drobne shrzydła:  
I, jak gdyby zwisał u sidła,  
Śpiewa ziemi — pieśń na niebie.*

*— Co co prosisz, skowroneczku?  
Czy o spokój w twym gniazdeczku?  
Czy o ziarko — drobną miarką?  
Czy o wodę dla ochłody?*

*— Ja o szczęście proszę wioski,  
Bom ja śpiewam Matki Boskiej!  
A gdy ludziom dobrze, czule,  
To i ja się gdzieś przytulę...*

*— A więc lecę pod niebiosy  
I niebieskiej błagam rosy,  
Błagam burzy urodzajnej,  
Aby rosła niva, łąka, —  
Płodnej ciszy, ciepła, słonka...  
I to pacierz mój zwyczajny.*

Wincenty Pol.





## Wieczorna modlitwa drzew.

Przepięknie wyglądają teraz nasze lasy, »pełne wczesnej woni leśnej i słonecznej krasy!« Oczu nie chce się oderwać od zielonych, od szumiących drzew, nasłuchać się dość nie można cichego szeptu liści. Sądzę więc, że trafi Wam do usposobienia, przypadnie do myśli i serca, drodzy czytelnicy, ustęp z pięknej powiastki wieskiej Sienkiewicza, w którym to ustępie znakomity pisarz tłumaczy na język ludzki poszumy lasu o wieczornej godzinie.

Ustęp ów brzmi, jak następuje:

»Na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dzięcioła, czarne i rude mrówki wracały szere-

gami do czerwonych od zorzy i promieni słonecznych mrowisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igielki, inne gąsienice. Między ziołami kręciła się tu i ówdzie mała czarna pszczołka leśna i śpiewając radośnie zwykle: »dana, oj dana!« dopełniała ostatniego ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej poczęły wychodzić na świat posępne i ślepe ćmy nocne; w potokach złotego światła kłębiły się roje mszyc, ledwie widzialnych dla oka: komary poczęły żałosną piosenkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtołzióby kos, lub załopotwały skrzydłami wrony, które, obsiadłszy jedno drzewo, poczęły się kłócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały tylko szmery drzewne. Leszczyna podnosiła siwe



listki do góry; król dęb pomruknał zcicha, lub zaszemrała warkoczami brzoza, Cisza.

Ale oto zorza stała się jeszcze czerwieńszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski -- więc już i wszystkie szmery leśne zwały się w poważne i ciche, choć ogromne, chóry -- to bór, nim zaśnie, przed nocą, modli się i odmawia pacierze; drzewa opowiadają drzewom chwałę bożą i rzekłbyś: ludzką rozmawiają mową.

Ach! tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Ach! tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się: oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiaździstą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwała Mu na wysokościach, na wodach, na łąkach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwa się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną a mocną woń żywiczną. Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze

złote są i pałające. Więc listkami naszymi złotymi pieśń Ci czynimy, o Panie, a cienkie gałązki nasze grają, jak harfy, o dobry Ojczy nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na umęczone upałem, posępne czoła nasze pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry radujcie się, bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osyczyna drży lekliwie, bo dała drzewa na krzyż Zbawiciela świata i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie, zlituj się nade mną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zmilkną na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lekliwy głosik, cichy, jak brzęczenie komara, cichy jak cichość sama. Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczór las i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już żadnego stworzenia, gdzie niema nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg!



## SEN SIEROTY.



Kto jeno spojrzy na to dziecko, zgadnie odrazu, że to sierota. Bo i jakże: śpi ono na strychu, jak to łatwo poznać ze stojącej obok drabiny i komina, bielejącego w zmierzchu. A którażby matka wyгнаła takie maleństwo z chałupy na strych, gdzie biegają myszy, latają nietoperze i wiatr zimny przewiewa? O sieroctwie mówią też i bosc, nie-

okryte nożeta i garść siana pod główką... Wszak i licha ptaszyna potrafi zbierać trochę piórek dla swoich piskląt, a matka-człowiek byłaby mniej dbała o wygodę swego dziecka?

— Tak, to z pewnością sierota!

Ale w takim razie skądże się tu wzięło tyle kwiecica?

Czyż to ręka litościwa obrzuciła biedactwo miękkimi kwiatkami o pięknych barwach i miłym zapachu?

Chwila cierpliwości, a wnet zrozumiemy, co malarz chciał powiedzieć swoim obrazkiem.

Przypomnijmy sobie piękne bajki o sierotach, które krążą wśród ludu. Powtarza się w nich zawsze myśl taka: zła macocha krzywdzi pasierbicę, a w końcu chce ją zgubić, ale to się jej nigdy nie udaje. W obronie opuszczonej sieroty stają nadprzyrodzone siły: aniołowie roztaczają nad nią opiekę, Matka boska ją chroni od zguby. Ba, zwierzęta i te litują się nad biedną;

kowa, wedle opowiadania pewnej gosposi ze wsi Hornów, położonej nad brzegiem Niemna, wspaniałej rzeki litewskiej.

Ale wpierrw jeszcze jedna uwaga: Roślinę, o której mowa w tej bajce, znamy wszyscy. Rośnie ona w górach i na nizinach, wszędzie, gdzie są łąki wilgotne, błotniste, a zwraca na siebie uwagę tem, że po przekwitnięciu śliczny, biały, jedwabisty puch wydaje. Puch ten zwiesza się w pięciu, siedmiu i więcej kutasikach śnieżnych na dość wysokiej, cieniutkiej łodydze. Botanika, czyli



Sen sieroty

w niektórych bajkach to nawet drobna mysz ratuje sierotę od śmierci.

Miło słuchać tych ślicznych bajek, które w chatkach powstawały. Świadczą one, że lud nasz ma silnie rozwinięte poczucie sprawiedliwości i że podług jego pojęć prawda zawsze w końcu zwycięża.

Z mnóstwa rzewnych bajek ludowych o sierocie powtórzę tu jedną, która najlepiej objaśni treść naszego obrazka. A dla Was, drodzy czytelnicy, będzie ona bajka tem miłszą pamiątką, że zapisała ją najznakomitsza nasza powieściopisarka, Eliza Orzesz-

nauka o roślinach, nazywa ją wełnianką wązkolistną, (po łacinie *Eriophorum augustifolium*), ale lud wiejski daje nazwy przeróżne, w każdej okolicy inne. I tak w jednych zowią tę roślinę bożem ciałkiem, że taka mięciuchna, miła w dotknięciu i bieleje po łąkach koło święta Bożego Ciała. W innych znowu dają jej nazwę waty, — jeszcze w innych nazywają owieczkami, że one białe kistki zdają się paść wśród zielonej trawy, do rozsypanych owieczek podobne.

Tam, gdzie ta roślina rośnie w znacznej obfitości, dziewczęta wiejskie zbierają

z niej puch i napęlniają nim sobie poduszki. Widziałam to nieraz sama na własne oczy.

A teraz wracam do onej bajki, zapisanej przez p. Orzeszkową z ust gospośi wiejskiej. Brzmi ona, jak następuje:

Była raz sierotka, która nazywała się Kasia. Ojca miała, ale matki nie miała. Ojciec był nie zły i nie dobry. Sam nie krzywdził sierotki, ale macosze krzywdzić pozwalał. Okrutnie bał się jej, bo nadto już zła była. Kasia chodziła bosa i nie umyta i calutenki dzień robiła wszystko, co tylko macocha robić jej nakazywała. A kiedy noc przyjdzie, spać nie ma gdzie. Lezie, bywało, Kasia na piec, a macocha krzyczy: »Tam moje dzieci śpią!« — Chce położyć się na zydłu, a macocha woła: »Ja zydel dla gości wyszorowała!« Potem garść zgnitej słomy rozsyła pod progiem i do Kasi mówi: »Tobie i tutaj dobrze będzie!«

Kasia położyła się na zgnitej słomie, ale zimno jej pod progiem, więc płacze, aż trzęsie się. Tak i zasnęła. Aż tu we śnie przychodzi do niej Najświętsza Matka, za rączkę ją bierze i mówi: »Chodź ze mną, sierotenko!

Z chaty ją wywiodła i do tej łąki prowadzi, co blisko wsi. Kasia idzie i dziwi się: wczoraj zima była i tyle śniegu leżało, a teraz lato — tak pięknie dookoła, ciepło, kwiaty kwitną...

Przyszła Najświętsza Matka z Kasią na łąkę i zaczęła rwać piękne, srebrzystym puchem okryte kwiaty, co je ludzie owieczkami zwią. Narwała, narwała, Kasi dała i mówi: »Ot tobie pościółka!«

Tak Kasi śni się. A macocha budzi się w nocy i patrzy: co to takiego? Cała

izba w światłości stoi. Patrzy, a to pod progiem Kasia na takiej srebrnej pościółce śpi, że od niej w całej chacie widno. Macocha wstała, Kasię obudziła i pyta: »Skąd ty pościółkę wzięłaś?« — A Kasia mówi: »Najświętsza Matka na łące owieczek nazrywała i mnie na pościółkę dała«. — Na to macocha rzecze: »Idź precz!« Wzięła, Kasię odpędziła i swoje dziecko położyła na owieczkach. A tu dziecina krzyczy: »Oj, mam, zimno!« Patrzy macocha, a jej dziecko na śniegu leży. Wtedy ona Kasię na śnieg, a swoje dziecko na piec. Ale pod Kasią pościółka z owieczek znowu zrobiła się taka srebrna, że w chacie od niej jasno. Wtedy macocha pomyślała, że Matka boska wzięła Kasię pod Najświętszą opiekę swoją i już jej pościółki nie odbierała».

Tyle opowiadania onej gospośi wiejskiej z nad Niemna. Całą tę bajkę przenika, jak widzimy, gorące współczucie dla ciężkiej doli sierocej. Przenika ją też wiara, że jest wyższa sprawiedliwość, która czuwa nad pokrzywdzoną istotą i ostre ciernie bólu zmienia dla niej w kwiaty szczęścia.

Tę myśl właśnie chciał wypowiedzieć malarz swoim obrazkiem.

Widzimy na nim wygnaną z chałupy na strych sierotę, której liche posłanie tajemnicza jakaś ręka przepięknem osypała kwieciami...

A teraz prosba do was, Czytelnicy i Czytelniczki: z pewnością słyszeliście nie jedną piękną bajkę ludową w życiu, więc możebyście chcieli napisać ją do „Zorzy“? — Byłoby to bardzo uprzejmie z waszej strony.

M.





## W ćwierćwiekową rocznicę.

**W**zrok tych, co wchodzą na przepiękny cmentarz Łyczakowski we Lwowie, uderza zaraz na wstępie okazały pomnik, w kamieniu wykuty. Przedstawia on zadumaną postać mężczyzny, na wysokim podniesieniu. Szeroką podstawę pomnika zdobi z jednej strony lira, na-

w pierś narodu, — orężem, co' błyskał, jak piorun, w krzepkiej dłoni, walczył za niepodległość Polski...

Imię Seweryna Goszczyńskiego, otoczone podwójnym blaskiem poezji i bohaterstwa, żyć będzie wiecznie w sercu narodu. Ale tej wiosny, z powodu dwudziestej piątej rocznicy zgonu poety, wra-



Pomnik Goszczyńskiego

rzędzie muzyczne, z drugiej — hełm rycerski i miecz. Bo ten, na którego cześć dłonie ludzkie pomnik ów wzniosły, był pieśniarzem i żołnierzem. Pieśnią, co miała pochrzęsty żelaza, wlewał ogień zapalu

ca ono częściej, niż kiedykolwiek, na usta. I przypominają się ludziom utwory Goszczyńskiego, płomienną miłością ojczyzny i ludu przejęte. Wstają w pamięci jego czyny: praca w tajnych sto-



warzyszeniach patryjotycznych, — potem udział w Powstaniu Listopadowem z r. 1831, — a w końcu apostolskie działanie wśród ludu w Galicji, który poeta pragnął uświadomić, pouczyć o należnych mu prawach, — któremu głosił ewangielję miłości ojczyzny i swobody.

Radabym i ja pomówić o tem wszystkim z Wami, drodzy Czytelnicy, ale zabraloby to wiele, bardzo wiele miejsca w malutkiej naszej „Zorzy“. Więc muszę ograniczyć szczerę chęć i poprzestać na streszczeniu jednej tylko powieści Goszczyńskiego. Powieść ta, napisana prozą, nie wierszem, ma tytuł „Straszny Strzelec“. Wybieram ją z pomiędzy innych utworów dlatego, że najwyraźniej wypowiada myśli i uczucia autora.

\* \* \*

Powieść „Straszny Strzelec“ ma formę opowiadania, które Goszczyński wkłada w usta muzyka, przebywającego w Tatrach, wśród górali. Nie trudno wszelako poznać w onym grajku samego autora, bo wszystkie szczegóły, które o nim podaje, zgadzają się, jak dwie krople wody, z tem, co wiemy o Goszczyńskim, tyle tylko, że ów ma na imię Stach i jest grajkiem, co muzykę do słów piosenki układa, nie zaś same słowa.

Muzyk ów — czytamy w powieści — walczył podczas Powstania Listopadowego z bronią w ręku o niepodległość ojczyzny, a gdy walka zakończyła się nie szczęśliwie, wyszedł wraz z innymi towarzyszami broni z Królestwa do Galicji. Wychowany wśród ludu i gorący jego miłośnik, Stach znał dobrze życie włościan w ziemiach, zabranych przez Moskali, lecz o ludzie w Galicji wiedział niewiele, a pragnął szczerze zbliżyć się do niego. Więc porzuca miasto, spieszy w góry i tam osiedla się w wiosce górskiej. Jako muzyk, chciał obeznac się z pieśniami gminu, ale miał też i inny, ważniejszy cel: widział w głębi ducha ludu cenne skarby i po te się zapuszczał. A czerpiąc ze skarbnicy mądrości ludowej, opowiadał góralom wzamian o tem, co oni wiedzieć byli powinni: opowiadał im o przeszłości ojczyzny, o wydartych nam prawach i o konieczności ich odzyskania...

Ubrany po góralsku, przebiegał góry, zamieszkiwał w samotnych chatkach, mieszał się pomiędzy pasterzy górskich, co spędzają całe lato zdala od wsi, na wysoko położonych pastwiskach, czyli tak zwanych

halach, a zawsze z myślą polską. „Czasami rzucił im słówko, którego dotąd nie słyszeli, rozjaśnił myśl, której dotąd nie pojmowali, odsłonił stronę życia, którą dotąd obojętnie pomijali. A w zamian dowiadywał się od nich wielu rzeczy bardzo ważnych, a dotąd sobie nie znanych.

Lud polski umie płacić sercem za serce, więc w krótkim czasie nasz Stach, czyli Goszczyński, ukrywający się pod tem imieniem, był wśród górali, jak między swoimi. Znajomości jego wzrastały z każdym dniem: wieś wsi, ludzie ludziom kolejno go podawali. Tak przejrzał całą okolicę podtatrzańską, gdy zaszły właśnie wypadki, które stanowią treść opowiadania.

Było to tak:

W pogodny wieczór czerwcowy pasterze górscy, czyli juhasi, zgromadzili się dokoła ogniska na polanie, zwanej Kalatówką. Po wieczery, skropionej coś-niecoś gorzałeczką, dziarska wesołość górali stała się tem szczerzą. A znajdował się między nimi i Stach, który, jako grajek, miłym okiem bywał widziany na takich zabawach. Grywał juhasom pieśni i tańce góralskie, ale też zapoznawał ich od czasu do czasu i z muzyką innych okolic, a więc z wesołymi śpiewkami Mazurów, ze skoczniemi kołomyjkami, lub tęsknymi dumkami, które lud śpiewa na Ukrainie. Tego jednak wieczora miał zagrać im coś bardzo pięknego, coś, czego nigdy nie słyszeli. Oto zamierzył wygrać na skrzypcach dzieje Polski, wyrazić dźwiękami radośne i smutne koleje, przez które przechodziła ojczyzna nasza. Przygotowywał się bardzo długo do tego grania, boć to nie lada kto dokażałby takiej sztuki. A kiedy potrafił w końcu naśladować na skrzypcach głosy wszelakich instrumentów, przyszedł wygrać drogim słuchaczom to, co sobie ułożył, wyśnił, wymarzył. Gdy zapowiedział, że grać będzie, ucichły gwary i śmiechy, a górale pilnie wyczężyli słuch, bo lubili jego muzykę. On zaś, wzruszony do głębi wielkością pieśni, którą miał grać braciom z pod strzechy wiejskiej, pociągnął smyczkiem po strunach.

Skrzypce ozwały się głosem jasnym, spokojnym, niby fujarka pastusza. Muzyk grał o przedchrześcijańskich czasach w Polsce, kiedy rolniczy naród kmiecy żył, unikając wojen, wśród szumu lasów, śpiewu ptasząt. Naraz dały się słyszeć dźwięki silne, grzmiące, niby uroczyste granie organów w kościele. To myśl chrześcijań-

stwa odzywa się w Polsce. Fajarka odpowiada brzmieniu organów, nie daje się zagłuszyć — bo lud broni dawnej wiary. Ale organ śpiewa coraz głośniejsze, a fajarka ciszej i ciszej, aż milknie, płaczem stłumiona. Wtem trąba wojenna groźną wybuchą wrzawą. Wzywa ona Polskę, już chrześcijańską, na bój z poganą, — bój, który trwać będzie wieki, zasłoni od klęsk Europę, stanie się historycznym posłannictwem Polski. — Teraz głos trąby przechodzi w pieśń poważną, religijną, w pieśń *Boga-Rodzica*, którą Polacy śpiewali przed bitwą. Rozbrzmiewa ona coraz potężniej, coraz nowe łączą się z nią głosy: odzywa się kobza góralska, myśliwski róg Litwy, lira Ukrainy, teurban kozacki. Polska staje się coraz potężniejsza: ślubna obrączka Jadwigi łączy z nią bezmierne ziemie litewskie i ruskie. Potem wszystkie głosy zlewają się w hymn tryumfalny. — Polska staje u szczytu potęgi. Ale uroczystą muzykę maci wnet dźwięk jakiś ostry, coraz przeraźliwszy, butniejszy, — znać że jedna część narodu, a mianowicie rycerska jego część, dąży do panowania nad całym krajem. Muzyka staje się niespokojna, bezładna, zgrzytają w niej fałszywe dźwięki, dąsa się kobza, płacze lira, naśladując jęki ujarzmionego poddaństwa ludu, słycać dalej niby gwar buntów kozackich, potem głosy milkną, jeden po drugim, jeno trąba bojowa gra jeszcze, ale coraz słabiej, aż cichnie i ona — Polska idzie w niewolę, w zatracenie, w śmierć!...

Muzyka ucichła, lecz górale zdawali się jeszcze jej słycać przez długą chwilę, siedząc w milczeniu, jak gdyby oczarowani. A potem jęli błagać Stacha, aby zagrał raz jeszcze swoją pieśń. Wtem głos jakiś nieznan, dźwięczny i silny zawołał z boku: „Proście pierwszej niech skończy!” Oglądają się ze zdumieniem górale i widzą postać olbrzymiego człowieka, który niewiadomo kiedy, jak i skąd się tu zjawił. Ubrany był po góralsku; w rękach miał ostry toporek, czyli ciupagę, przez plecy strzelbę, za pasem pistolety. Wyniosły wzrost nieznanego i szerokie bary znamionowały nadludzką siłę, ale męska, cudnie piękna twarz tchnęła wielką dobrocią, a błękitne źrenice świeciły przeczystym blaskiem gwiazd.

— „Słuchacie grania, ale czy rozumiecie? Czy wy się domyślicie, że w graniu Stacha patrzyliście na matkę waszych pradziadów, na waszą własną matkę, na

matkę-Polskę, na jej życie przez tysiące lat? A to granie tak wam o niej gadało: Była wielka, szczęśliwa, sławna; prowadziła wojny w imieniu Boga prawdziwego i dla szczęścia bliźnich. Przyszedł szatan dumy i rozpusty, rozdzielił naród na panów i chłopów; natchnął jednych nienawiścią dla drugich, odebrał rozum jednym i drugim; wzbudził potem nieprzyjaciół obcych i wszystkich oddał im w kajdany: Polska pogrzebiona. To wam Stach skrzypcami powiedział. Nie powiedział wszystkim. Polska w grobie, ale żyje. Zagrzebano ją żywcem. Głosu jej nie słycać na ziemi, ale pod ziemią“.

I wzięwszy skrzypce z rąk Stacha, zaczął grać ona pieśń grobową Polski. Twarz dziwnego grajka była spokojna, oczy wpatrywały się w tarczę księżycową na niebie, a skrzypce ozwały się pod jego smyczkiem takim głosem, jakiego nie miał nigdy żaden instrument. Zdawało się, że śpiewały, a śpiewając mówiły. Dźwięki ich płynęły wciąż cicho, boleśnie, pogrzebowo; kiedy niekiedy dziki wtór zaszedł się łkaniem, wyrażając chwilę żywszej boleści dręczonego narodu, a czasem, choć rzadko, odzywał się głos trąby bojowej, niby echo naszych walk o wolność...

Pieśń pogrzebowa cichła z wolna, aż całkiem umilkła.

— Posłuchajcież teraz, jak ojczyzna nasza zmartwychwstanie — rzekł muzyk.

I znowu rozbrzmiała pieśń pogrzebowa, ale już cokolwiek inna, rzeźwiejsza, weselsza i wciąż rosła, wzmagala się. bo jeden po drugim łączyły się z nią dawne głosy; litewski róg leśny, lira ukraińska, kobza góralska. Aż nagle odezwał się dźwięk fajarki, owej fajarki ludowej, co brzmiała po całej Polsce za piastowych czasów. Tę ciche zrazu, dalekie, wzmagaly się stopniowo, aż pierwszem owładnęły miejscem, a wszystkie inne już za wtór im służą. I płynie pieśń czarowna miłości, coraz głośniejsza, aż „takt po takcie urosła w bicie kotłów, grzmot trąby, w muzykę męskiej energii. Naraz zawrzała całym pozornym nieładem walki wszystkich tonów, całą jego dzikością“.

To lud dopomina się o prawa utracone, — o równość!...

Walka zmieszanych tonów wrzała chwilę, a potem wybiegł w górę głos trąby, za nim ozwały się wszystkie inne pieśnią tryumfalną i zwały w uroczysty akord or-

ganu. W Polsce wolnej od wroga, zgoda, równość, braterstwo, miłość!...

Dziwny muzyk, przestał grać, ogarnął zgromadzonych błyszczącym, niby gwiazdy, spojrzeniem, rzucił im krótkie: „Bóg z wami!“ i odszedł nagle, jak przyszedł.

Po tem pierwszym spotkaniu muzyk Stach widział raz jeszcze wielkiego nieznanego. Było to we wsi Poroninie. Nieznajomy przybył tam wraz z licznym gromem górali — na pogrzeb człowieka, który poświęcił dla ojczyzny wszystko, co miał, a w końcu poniósł dla niej śmierć męczeńską. Nieznajomy wygłosił nad grobem bohatera-patrioty porywającą mowę, wzywając lud do miłości i ofiar dla Polski. Zaczem wysunął się z pośród otaczających go ludzi i po kilku krokach zniknął wszystkim z przed oczu...

— Piękne opowiadanie, ale cóż kiedy ów nieznanomy wygląda, jak gdyby żywcem był wzięty z bajki — powie może

który z Was, Szanowni Czytelnicy. Więc spieszę z wyjaśnieniem.

Goszczyński pisał powieść swoją przed sześćdziesięciu laty, a wtedy dla poetów — nietylko u nas, ale i we wszystkich innych krajach — służyły, jako wzór, podania, baśnie, wierzenia ludowe, w których dziwne dzieją się dziwy. Kierunek po lobny w piśmiennictwie nazywał się romantyzmem, a sami pisarze romantykami. Owoż i Goszczyński, jako romantyk, wprowadził do swego opowiadania nadludzką, cudowną postać. A wiecie kogo chciał przedstawić w onym olbrzymie, potężnym, spokojnym, co miłuje nadewszystko ojczyznę i wierzy w jej zmartwychwstanie? Oto jak malarze wyobrażają niewidzialne duchy niebieskie pod postacią aniołów skrzydlatych, tak on pod postacią tego olbrzyma chciał wyobrazić duszę ludu polskiego. Sam to wyznaje w końcu swej opowieści.

*M. Wysłouchowa.*



## B Ó B R.



Widzimy na tym oto obrazku bobry przy robocie, a mianowicie przy budowaniu domków, które te mądre zwierzęta wznoszą dla siebie na mieszkania po lasach, nad wodą spokojnych rzek, strumieni, jezior i stawów. Jeden z bobrów ścina ostremi zębami przednimi, czyli tak zwanymi siekaczami, gałązkę na budowę, drugi płynie z uciętą już gałązką do gniazda, inni włączają na swoje pałace, aby coś wyrównać, poprawić, upiękoczyć.

— Bo ten mądry bóbr — to nie lada jaki wygodniś!

Nazewnątrz gony, czyli gniazda, siedliska bobrowe, wyglądają dość niepocześnie, niby jakie stogi siana. Ale za to we środku —

cudności! Najpierw mieszkanie bobra ma aż dwa piętra: w dolnej komorze przemysłne zwierzątko przechowuje zapasy żywności, — w górnej mieszka sam, z rodziną, niekiedy bardzo liczną, do 30-tu głów dochodzącą.

Tę górną, czyli mieszkalną komorę bobry wysypują grubą warstwą wiór, bo lubią, aby im miękko było. Ściany zaś wygładzają jak mogą: odcinają zębami sterzące gałązki, smarują gęstą masą, zrobioną z muła, piasku i ziemi, którą mieszają i gniotą zręcznie przednimi łapkami, niby mularze.

Budowniczy, prawdziwy budowniczy z tego bobra — i tyle!

Ale postuchajmy jeno dalej:

Bóbr nie może się bronić napastnikom, bo nie ma ani siły po temu, ani ostrych

klów, ni szponów, — musi więc rozumem i przezornością wynagradzać sobie te braki. — Jakoż misterna sadyba bobra ma zawsze co najmniej dwa wyjścia. Jedno z nich pokrywa woda, drugie prowadzi podziemnym chodnikiem daleko w las. Łatwo mu więc ujść przed napaścią, albo kryjąc się pod ziemią, albo rzucając w wodę.

Ale woda w stawach i rzekach nie stoi, jak wiadomo, na jednym i tym samym poziomie. Zaś opadając, odsłaniałaby otwory bobrowej. Więc cóż mądry bóbr czyni? — Oto przeprowadza wpoprzek wód sztuczne tamy, które utrzymują przy jego mieszkaniu wodę zawsze na tej samej wysokości. A tamy owe robi doskonale: wbija w dno rzeki grube pale, odarte z kory, prze-

się dłuższe. Gdyby więc te zwierzęta nie gryzły twardej przedmiotów i nie ścierały tym sposobem przednich zębów, toby wkrótce nie mogły wcale pyszczków otwierać, takby im dolne siekacze powyrastały w górę, a górne w dół.

Za dawnych czasów wielka była obfitość bobrów po naszych lasach. Gony bobrowe i żeremia, wznosiły się nad brzegami niezliczonych jezior i stawów, rzek i strumieni, które srebrzą się na bezmiernych ziemiach polskich, litewskich, ruskich. Na Litwie zwłaszcza, w nisko położonych, bogatych w wodę puszczech, był dla nich raj prawdziwy. To też tam przechowały się najdłużej, tam i po dziś dzień można je spotykać, choć coraz rzadziej. W innych



plata je giętkimi gałązkami, a między te gałązki sypie piasek, ziemię, kamienie, oblepia wszystko mułem, okręca roślinami wodnymi. Uszkodzenia, sprawione w tamach przez deszcze lub burze, bobry naprawiają natychmiast i to bardzo dokładnie.

Bóbr, podobnie jak mysz, zając, wieśiórka, należy do gatunku zwierząt, zwanych gryzoniami.

Gryzonie nie mają wcale klów, ale mają za to cztery, bardzo ostre siekacze, czyli zęby przednie. Siekacze zaś gryzoniów posiadają tę dziwną własność, że wciąż rosną, stają

natomiast miejscowościach chciwość ludzka wytepiła doszczętnie cenne te zwierzątka.

I nie dziw!

Bóbr bywał dla myśliwych nadwyzczaj łakomą i silnie poszukiwaną zdobyczą. Mięso bobrowe, uważane było za jeden z największych przysmaków na stołach pańskich; w jedwabistym, miękkim jego futrze lubowała się zarówno szlachta, duchowieństwo, jak i mieszczenie; tłuszcz posiadał własność gojenia ran, a strój, czyli płyn o przejmującym zapachu, który znajduje się w osobnym woreczku wewnątrz bobra, leczył najbardziej

zadawnione choroby, uśmierzał dotkliwie cierpienia ludzkie. Zwłaszcza strój bobra litewskiego, jako najskuteczniejszy w leczeniu, poszukiwany był w całej Europie i ceniony wysoko. Bajeczne prawie ceny, które płacono za ów strój, stały się też głównym powodem wyniszczenia przez kłusowników resztek gonów na Litwie w początkach bieżącego stulecia. — Dziś bobry mnożą się i żyją gromadnie już tylko w wielkich lasach Ameryki i Azji. M.



## Listy do „Zorzy“.



*Izdebnik. W maju.*

Jako największą zasługę tej gazetki »Zorzy«, poczytuję to, że ona zachęca do czytania nasze gosposie i dziewczęta. Nie jest ta gazetka wydawana tylko dla kobiet, jak to każdy sam widzi. Wszak niema w niej ani jednego artykułu, któregośmy nie czytali z zajęciem i pożytkiem i my, mężczyźni. Ale podoba się i niewiastom i jest pierwszą gazetką, przez nie czytana.

U nas jednak, w Izdebniku, gorzej się dzieje pod tym względem, niż po niektórych wioskach okolicznych, gdzie nietylko mężczyźni się garną za tą iskrą oświaty, ale i młode dziewczęta i kobiety.

U nas kobiety nie bardzo się zajmują książkami lub gazetkami, przez to też, jeżeli

mężczyzna się zajmuje czytaniem gazetek, to i więcej jest nieporozumienia w domu, gdyż poniektóre kobiety są przeciwne temu. Nie rozumieją, biedne, że im światlejszy będzie mężczyzna, tem ich własna dola będzie szczęśliwsza.

Zdarza się jednak i u nas czasem, że same — przy dobrem wyjaśnieniu — pragną, aby im coś przeczytać. Ale czytanie jakich ustępów rzewnych, to im nie tak się podoba, jak bajki lub żarciki. A co do polityki to już żadna nic nie rozumie i nie wie, co jest polityka. Lecz do pracy są za to skore, a przytem lubujące się potrosze w wystawności. Żeby to się więcej rozchodziło po naszym kraju miłej gazetki »Zorzy«, toby wnet kobiety stanęły na równi z mężczyznami co do oświaty.

A gdyby kobiety więcej były oświecone, to prędzej znalazłyby szczęście w małżeństwie, bo przy tem prędzej poznałyby do siebie mężczyznę, czyli ot tak powiedziec poprostu: pary małżeńskie lepiejby się dobierały. Dziś, jak im nakażą rodzice, tak ich wolę wypełniają. A to szkoda, gdyż takie łączenie się na oślep powoduje wielkie nieporozumienia między stadłem.

Przepraszam, może ubliżę któremu z ojców, lecz ja tak rozumiem, że syn lub córka muszą służyć rodziców we wszystkich rozkazach, ale gdy przyjdzie co do małżeństwa, to każdy powinien iść za popędem serca. Tak też i rodzice nie powinni się temu sprzeciwiać, gdyż te dzieci klną ich po połączeniu niesforem. Bo lepsza bieda miła, niż rozkosz przekłeta!

Nie wiem, czy się zdadzą na co moje wyrazy szczere, nieuczzone, ale proszę je przyjąć ode mnie samouka, jako dowód życzliwości dla naszej gazetki. Co zaś do mnie, to myślę, że ważniejsze jest to, co człowiek z siebie samego snuje, niż co powtarza, niby wyuczony pacierz za panią matką.

Kończę moje wyrazy, zasyłając życzenie szczęścia każdemu, co chce pracować dla dobra publicznego, zwłaszcza dla dobra ludu, w naszej Polsce, w naszej ojczyźnie drogiej.

*Jan Trąbka.*

*Handzlówka. W maju.*

Czytając w numerze styczniowym »Zorzy« piękny wiersz Lenartowicza pod nazwą »Ofiary Polki«, przypomniałem sobie niemięj piękny wiersz, wygłoszony podczas obchodu setnej rocznicy urodzin wielkiego poety, co pragnął, by »księgi jego zbłądziły

pod strzechy«. Hołd sławnej jego pamięci złożyła, jak mogła i nasza wioska.

Owóż na tym pięknym obchodzie p. Gawlikowski z Albigowej wygłosił wiersz z taką siłą i uczuciem, że słuchacze łzy mieli w oczach. Po owym wierszu poznałem, że mówił o powstaniu, gdyż pamiętam jeszcze jego słowa o orle białym, któremu skrzydła połamane krwią zachodzą.

Więc zwracam się z zapytaniem, czy Redakcja »Zorzy« nie zna takiego wierszyka, a bardzo by mnie ucieszyła, gdyby go mogła w gazecie naszej umieścić. Chciałbym koniecznie mieć go na pamięć.

Proszę też w gazecie więcej umieszczać utworów p. Konopnickiej, bo to sławna nasza poetka! Jak się w ostatnim czasie dowiedziałem, to bardzo dużo, a myślę, że i pięknych książek ułożyła. Dla dzieci podobno takie ułożyła: »O Janku Wędrowniczku«, »Wesołe chwile małych czytelników«, »Moja książeczka«, »Szczęśliwy świątek«, »Wiosna i dzieci«, »Pod majowym słonkiem«, »Historja o Krasnoludkach i Sierotce Marysi«, »W domu i w świecie«

t. d. No to dla dzieci, a co dla dorosłych! Jakaś sławna pisarka jest Teresa-Jadwiga, bo się z jej książkami można często spotkać i są to rzeczy bardzo wspaniałe! Dla czego to »Zorza« nigdy nie wydrukuje z jej utworów. Zaprosz ją, kochana »Zorzo«, niech pisze w twoich łamach, bo jest dzielna.

Za powiastkę p. Elizy Orzeszkowej, pod tytułem A... B... C... składam podziękowanie. Ale przy tej sposobności donoszę, że jakkolwiek jest to powieść nader zajmująca, to jednak tę ma wadę, że nie zakończona. Nie wiadomo bowiem, co się stało dalej, czy ów dobroduszny a szlachetny brat wypłacił owe dwieście talarów i w jaki sposób? Ale cóż ja, prosty chłop, miałbym dawać rady tak znakomitej i zasłużonej pisarce! Jeżeli se o tem piszę, to tylko na to, by powiedzieć, jaka moja myśl, ale przeto śliczna ta powieść na zawdy śliczną pozostanie.

Pozdrawiam Szan. Redakcję i wszystkich, którzy dla ludu pracują.

Jan Sobek  
czytelnik »Zorzy«.



## ROZMAITOŚCI

**Cienie.** Pod tym tytułem »Zorza« dzisiejsza podaje drobny szkic znakomitego pisarza, Bolesława Prusa.

Autor mówi w tym utworze o cieniach, co zalegają ziemię, gdy słońce zgaśnie, ale nietrudno wyrozumieć, że myśli z bólem o ciemności, w której toną umysły i serca ludzkie dla braku oświaty. Autor mówi w tym utworze o latarniku, co zapala na ulicach miasta latarnie, aby ustrzedz tysięcy ludzi od wypadków nieszczęsnych, ale łatwo wyrozumieć, że myśli z rzewnem wzruszeniem o szlachetnych i mądrych krzewicielach oświaty, co się trudzą z wiarą i miłością dla dobra bliźnich, co rzucają słowa gorące, podobne do złotych iskieł, aby rozjaśnić pomrokę życia. »gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki«...

I gdy czytamy o takich latarnikach — oświecicielach, co niosą drobny płomyk nad głową, aby czynić dobrze nie dla jakiejś tam lichej nagrody lecz przez miłość bliźniego, to i w nas samych wstaje chęć pracy podobnej. Więć wdzięczność należy się pisarzowi, którego dzieła szlachetne budzą uczucia...

O Bolesławie Prusie nie raz jeszcze będzie mowa w »Zorzy«, bo to jeden z naszych wielkich. Dziś powiem jeno, że mieszka w Warszawie, że dwa lata temu społeczeństwo polskie święciło uroczyste świętowanie jubileusz jego pracy literackiej i że właściwe jego nazwisko jest Aleksander Głowacki, na książkach zaś swoich podpisuje się pseudonimem, czyli przybrałem nazwiskiem Bolesława Prusa.

**Jacy goście! Jacy goście!** Kraków, ten dopiero ma szczęście! Od czasów Kazimierza Wielkiego słynie z gościnności i jakich że to jeno gości nie przyjmował w swych murach w wielowiekowym swem istnieniu. A teraz, w wiosenną uroczystość świąt Zielonych, zawitali do podwawelskiego grodziska goście z ziemi Śląskiej, »odrabanej od macierzy, porzuconej na rubieży«...

Przybyło aż 1.000 osób z Górnego Śląska z redaktorami »Gazety Grudziądzkiej«, i »Opolskiej«. Wśród przybyłych było bardzo wiele ludu wiejskiego, tak mężczyzn, jak i kobiet. Przybyli także uczniowie gimnazjów: cieszyńskiego, jasiel-

skiego, ruskiego ze Lwowa z profesorami, uczniowie szkoły ludowej z Jasła i szkoły koszykarskiej w Skołyszynie. Razem gościł Kraków z górą 2500 osób. Przybyłych ośmiu pociągami dnia 26. b. m. o godzinie 8. rano powitały muzyka „Harmonji„ i Bierzanowska. — wiejska złożona z włościan, które ich odprowadziły pod pomnik Mickiewicza w rynku, poczem nastąpiło zwiedzenie miasta. Wspólne zebrania odbyły się w sali Johna i na Strzelnicy. Przemawiali redaktorowie, kilku Ślązaków i akademik z Warszawy, p. Boleski, w imieniu młodzieży trzech zaborów.

Teatr przez dwa dni na trzech przedstawieniach był zapelniony.

**Przeciw paleniu tytoniu.** „Przewodnik zdrowia“, bardzo pożyteczna gazeta, wydawana w Berlinie przez doktora polaka, p. A. Czarnowskiego, pisze, że w Anglii, kraju, gdzie oświata tak wysoko stoi, gazety starają się odwozić ludzi od palenia tytoniu i udowadniają, jak wielką szkodę ów nałóg wyrządza zdrowiu, zwłaszcza w młodym wieku.

Zgubne skutki takiego nałogu małeów — pisze „Przewodnik zdrowia“ — o których rodzice ich najczęściej nie mają pojęcia. są zanadto widoczne, aby je aż udowadniać. Dość wskazać na zastraszający wzrost chorób umysłowych i żołądkowych u chłopców, niżej lat szesnastu. Pisma angielskie nawołują społeczeństwo do naśladowania Ameryki Północnej, która na wiele lat wyprzedziła Europę w powściągnięciu tego nałogu nieletnich obywateli osobnem prawem, które na każdego palacza, nie liczącego lat szesnastu, nakłada ciężkie stosunkowo kary. Według rozporządzenia, wydanego przez sędziego miejskiego, Adama Schatra w Mount Vernon, każdy chłopak, przytrzymany na ulicy z papierosem w ustach, winien być bezzwłocznie aresztowany. Nie pomagają wówczas prośby rodziców: nałogowy małeć musi przepisać czas przesiedzieć o chlebie i wodzie, co najczęściej kończy się z pożytkiem dla niego, a ze szkodą sprzedawców tytoniu.

„Prawda“ zaczęte pismo, które wychodzi dla ludu polskiego w Południowej Ameryce, w Brazylji, w Paranie, pod redakcją p. Józefa Okołowicza, umieszcza rewelacyjny wierszyk p. Ślaza, pod tytułem: „Dziecię Polki“. Wierszyk ów przytacza rozmowę matki z synem, który się urodził w Brazylji i nie zna Polski. Owoż dziecko zapytuje, czy to prawda, co słyszał, że na ziemi polskiej ludzie ciemni, brudni, źli, nędzarze, że giną z głodu i chłodu, „bo sere im brąknie, bo boją się pracy?“

Na to matka odpowiada:

„Synu mój! synu! nie rań serca mego!  
Kto ci truczną duszę twą napawa?  
Któż eiska potwarz w twarz kraju biednego,  
Którego przeszłość szezyna, chociaż łzawa!

Pomnij, o dziecie, żeś Ty Polki synem!  
Z mlekiem testament ssałeś z matki Jona,  
Że kiedyś jasnym zabłysnąć masz czynem,  
Wskresić tę ziemię, co krwią, krwią zroszona!  
Piękna ta Polska, chociaż ona biedna, —  
Piękny kraj, drogi, kochany kraj stary, —  
Bo ona z wrogiem nigdy się nie jedna,  
Pomna, że trzy ją rozszarpały cary.  
Choć dźwięk kajdanów — to jej kołysanka,  
Choć wróg jej synom lotów orła wzbrania,  
To kiedyś wstanie z grobów carska branka.  
Wy zanuciecie jej hymn smartwychwstania...  
Z za morza pójda Nowej Polski syny  
Skruszyć kajdany, więzy i obroże,  
Parańskie dzieci swymi wskreszą czyny  
Ojezyzną biedną...“

„Mamo, chce za morze!...“



## Odpowiedzi od Redakcji.

*Szanowne Stow. „Jedności“ w Szumbarku.* Wysłaliśmy wszystkie numera wszystkich egzemplarzy i to z radością podwójną: raz, że idą na Śląsk — powtóre, że gazetkę naszą zaszczyca swoją opieką Stowarzyszenie, które pod hasłem jedności pracuje tak skutecznie i dzielnie dla dobra ludu.

*P. Marysia Parańska w Skołyszynie.* To bardzo dobrze! A wróżba kukułki niech się też spełni! Jeno nie trzeba wierzyć ślepo tej bałamutce, bo to najczęściej śmieszki ma w głowie i lubi zwodzić ludzi. Ale i ona sama pewnego razu została zwiedziona. Oto lud w Czechach opowiada, że kukulka miała niegdyś piękny czubek na głowie, ale pożyczyła go dutkowi, gdy ów szedł druźbować na weselu. Dudek nie oddał jej później tego czubka, bo zobaczył, że mu z nim ładnie. Więc kukulka szuka go po lasach, aby odebrać swoją własność i wciąż woła z gniewem: „klu-ku! klu-ku!“ A „klu-k“ po czesku znaczy tyle, co chłopiec, albo i urwisz. A dudek odpowiada: „Idę! idę!“ — ale czubka jej wciąż nie oddaje.

*P. W. Bogajski w Poznaniu.* Wszystkie numera wysłaliśmy z całym pośpiechem, bo zaproszenie z drogiej a sławnej ziemi Piastowej, co białe orły wydała, to radość wielka i wielki zaszczyt.

*P. Stanisław Borowiec pod Przemyslanami.* Za chętnie czytanie „Zorzy“ dzięki! Przekazów nie posyłamy, choć tak czynią niektóre pisma, bo nie chcemy przypominać natrętnie Czytelnikom o przedpłacie. Pamiętają o niej sami dobrze, aż nadto dobrze.

*Szanowny Wydział „Jedność“ w Sowińcu.* Wysłałam jednocześnie dwie książeczki treści historycznej. Kosztują, wraz z przesyłką pocztową, 25 cent., więc nie warto uiszczać osobno tak drobnej kwoty, najlepiej będzie do prenumeraty dołączyć ją kiedy. Życzenia szczerze wszelakiej pomysłowości!

*P. Józef Antonik w Straszynie.* Gościnne zaproszenie ze strony przyjaciół — to rzecz ogromnie miła, zwłaszcza jeżeli kto aż „w róg chaty“ zaprasza. To też „Zorza“ zaglądać będzie do was, kochany Panie, w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. Nie spóźni się, bądźcie spokojni!

*P. Grzegorz Rakoczy pod Litwinowem.* Ależ owszem, owszem: rachunek wyrównany zupełnie do końca roku. Nam się już nie należy, ale od nas należy się Wam, Panie, serdeczna wdzięczność za gorliwe popieranie naszych wydawnictw. Pamiętam, ile to trudu zadawał Pan sobie przed półtora rokiem. Bóg zapłać!

*P. Marcin Marek w Rogoźnie.* Ci, co biorą „Zorzę“ razem z „Przyjaciелеm Ludu“ płacą jeno 20 cent. rocznie, bo odpada koszt przesyłki pocztowej. Więc 12 cent, zapisaliśmy już na rok 1902. Pamiętam, — jakoż bym miała zapomnieć? — pamiętam pierwsze nasze spotkanie i rozmowę, jak gdyby to było wczoraj... A miła wasza gospoia, czy zawdy jeszcze taka żwawa? A młoda synowa, czy zawdy ma lica do zorzy rumianej podobne? — Pozdrawiam je obie bardzo serdecznie.

*P. Jan Król w Brzeźowce.* Nie brakuje nic. — O niechże świeci prawdziwa zorza szczęścia i wam, Panie — i wszystkim ludziom dobrej woli — niech świeci i nie gaśnie nigdy!

*P. J. W. w U.* Spotkaliśmy się w myślach. I ja uważam takie artykuły za konieczne. Jeno że chwila bieżąca budzi najeźdźcą jakieś wspomnienie historyczne, o którym trudno zamileć. Ale przyjdzie czas i na tamto. Ręczę słowem. Za wszystkie uwagi i wskazówki dzięki serdeczne. Dzięki też i za trudy, ponoszone dla „Zorzy“, choć wolałabym, aby tych ostatnich było mniej.

*P. Andrzej Sikora pod Kalwarią.* Koronę, zbywającą od prenumeraty na „Zorzę“ i „Przy-

jaciela Ludu“ zapisaliśmy na rok 1902. Proszę o tem pamiętać i darować. Inaczej nie mogliśmy uczynić. Pożyczenie innym swoich gazetek do czytania zasługuje na żywą pochwałę. Światłem należy się dzielić z bliźnim, jako i chlebem, bo to karm niezbędna dla duszy. Szczęść Boże w tej znacznej pracy. A rzeźby niech się też udają jak najlepiej!

*P. Jan Szeffek w Rzece.* Zarówno w imieniu „Zorzy“, jak „Przyjaciela“ proszę przyjąć wyrazy prawdziwej wdzięczności za przyjaźń. Ślemy nawzajem życzenia wszelakiej pomysłowości.

Podręcznik wysłałam pod wskazanym adresem jeszcze w kwietniu.

*P. Jan Trąbka w Izdebniku.* Wiersze nadesłane zawierają wiele słusznych myśli i wiele w nich miłości ojezyny, która jest koroną uczuć ludzkich. Nie nadają się jednak do „Zorzy“, bo są zbyt rozwlekłe dla małej gazetki. Proszę i Was, panie Janie i wszystkich drogiech Czytelników, aby pisząc do „Zorzy“, nie zadawali sobie nigdy pytania, „czy się zdadzą na co ich szczerze wyrazy“. Zdadzą się zawsze, bo pozwalają mi wyrozumieć wasze myśli, wasze uczucia. A to rzecz ważna! Jakożbym mogła wydawać gazetkę, nie wiedząc, co czują, co myślą Czytelnicy?

*P. M. Kielb w Bobrownikach.* To bardzo szczęśliwie, żeście się poznali na farbowanych liściach. Prawda zawsze zwycięża. Pracujmyż i nadal z wiarą i zapałem dla jej tryumfu!

*P. Jan Kiczmer w Białej.* O 5 centów za wiele na „Zorzę“. Zapisaliśmy na rok przyszły. Jak to dobrze, — jak to bardzo dobrze, że coraz więcej gazetek polskich idzie do Białej, gdzie Niemcy tak się panoszą, tak radziłyby zniemczyć wszystko i wszystkich. Ale to się im nie uda! Nigdy!

*P. Jan Wałach w Ligotce.* Zapas robimy bardzo wielki, aby wystarczyło i dla tych, co późno przyjdą, więc wysłaliśmy wszystko. Oby się jeno podobało.



Treść numeru: Cienie. — Skowronek. — Wieczorna modlitwa drzew. — Sen sieroty. — W ćwierć wiekową rocznicę. — Bóbr. — Listy do „Zorzy“. — Rozmaitości. — Odpowiedzi Redakcji.

Odpowiedzialna redaktorka: Marja Wyslouchowa. Z „Drukarni Udziawowej“ Łwow, Lindęgo 8.